

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny i mod kwartal. 1 Złr. 20 kr.

# NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i z dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

## JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Pani Wolska.

Dla zrozumienia dla czego tak bardzo szło o szlachectwo panu Janowi Ewanieliście Drzwiowskiemu, musimy porzucić Warszawę, i przenieść się na chwilę do Lwiewo grodu, starożytnej stolicy czerwonej Rusi. Lwów w r. 177. nie był takim jak dzisiaj, mianowicie co do porządku wewnętrznego. Wyszadzona przez konstytucję dla miasta Lwowa komisja celem przyprowadzenia ulic do lepszego porządku, rozjechała się bez żadnego skutku z dominikańskiego klasztoru, gdzie była ulokowana, i mimo nowych rządów błoto zostało błotem po ulicach. Jedyńa ozdobą miasta, która mu po dziś dzień jest właściwą, były piękne świątynie pańskie, które wszystkie świadczą mimo zmian gustu naszego i wyobrażeń, jak pobożnymi byli zawsze mieszkańcy tej ziemi.

Domów zajezdnych było wówczas bardzo mało, i to po największej części w ręku żydowskim, a więc nieodzynały się ochędostwem, a tem mniej dzisiejszym komfortem. Jakkolwiek już wtenczas picie kawy bardzo było rozpowszechnione podróżni przyjeżdżając do miasta, szczególnie niewiasty największe zwolenniczki tego trunku arabskiego, jeżeli nieprzywieźli z sobą przyborów kawianych, musieli przestać na dobrze przyrządzonym piwku. Jedna z takich gospod na Krakowskim, mających luźne dla podróżnych pokoje, była kamienica niska, szczupła, źle zbudowana, pod „złotą gwiazdą” nosząc na sobie Nr. 228.

Na pierwszo piętrowym ganku pod Nr. 14. kończyły właśnie ranne piwko dwie kobiety porządnie lecz nie wykwintnie ubrane, i obydwie milczały długo pogrążone w niezbyt wesolej zadumie. Były to matka i córka. Pierwsza licząca lat może pięćdziesiąt, miała rysy wydatne, cerę śniadą, nos orli; po jej ruchach i całej postawie poznać można było nieodrodną familiantkę polską.

Druga podobniuteńka do matki jakby cieńszy koniec lorynetki do grubszego końca, była wyższa od matki, bru-

netka o rysach delikatnych i ściągłych, nosku wdzięcznie wykrojonym i oczach szafirowych. Jak dalece była piękna i powabną świadczył najlepiej ruch młodzieży lwowskiej zamilowanej dawniej jak i teraz w ładnych buziaczkach, która zwierzywszy już nowo przybyłą piękność, dybała na dole na wyjście obu niewiast. Umeblowanie izby gościnniej nader było skromne; prócz łózek drewnianych starannie zasłanych, stolika i kilku krzeseł również niewykwintnych, najwybitniejszym sprzętem, był tłumok sporej objętości, doskonale zapięty.

Pierwsza matka przerwała milczenie. Westchnąwszy z rodzajem przesady ozwała się niby do siebie samej.

— Radabym już doczekać się chwili, w której udam się do kościoła. Jakże gorąco modlić się będę do ciebie Boże wielki aby przebłagać twą nieodgadnioną i świętą wolę, która tyle rozmaitych dróg wybrała, aby moją biedną próbować duszę. Ileż to rzeczy człek biedny nie zniesie! Ileż ja na tym padole wytrzymać muszę; ile już strat poniesłam bolesnych! Najprzód śmierć dobrych rodziców, których tylko pamięć pozostała; upadek zupełny gospodarstwa spowodowany przez obalamucenie, opuszczenie, a może i śmierć małżonka, o którym od zawiązania konfederacji barskiej ani słyhać! Potem przysłała śmierć moich dwóch synów, którzy mieli być podporą mojej starości; pokłócenie się nareszcie z siostrą moją. A na domiar złego dopuściłeś Boże taką zapamiętałość panny Anny kochanej jedynaczki, która niezważając na ród nasz zapragnęła co prędzej stanąć przed ołtarzem z młodym wytrefionym dorobkiewiczem!

Exortę tę przydługą dokończyła boleśnieszem jeszcze westchnieniem.

— Moja droga mamó! ozwała się córka; dla czegoż tak powstajesz na mego kochanego Jasia. A onże przecie taki dobry jak anioł, i jak anioł przystojny; gospodarny, poświęcający się, wylany dla nas, których od lat już kilku rozmaitemi ratuje sposobami. I wszystko dla tego, że pani Lubowiecka nagadała, że on ma być niższym odemnie w urodzeniu. A przecież zapewniam, że rodzina Drzwiwskich pochodzi z Włoch; jest to tylko przepolszczone nazwisko słynnej rodziny la Porta, z którego to domu wyszedł nawet kardynał świętego kościoła rzymskiego.

— Milczalabyś waćpanna z takimi głupstwami! Jeszcze czego nie stało! jakieś raporta!

— Ja mówiłam la Porta! Wszakże i przodkowie kró-



la polskiego pochodzą z Włoch, i zwali się pierwiej Torrelami.

— Głupie gadanie! co król, to król! Ja niewiem czy on z Włoch pochodzi, ale to pewna, że już od dawna Polniatowscy łączą się z pierwszymi u nas domami. Cóż to za komparacja z tym adonidem, który daje ci na to słowo polskiej szlachcianki niedostanie twojej ręki, póki się nie wywiedzie z szlactwa, choćby się nam miała bieda więcej jeszcze przelać przez uszy.

Kolej westchnienia przyszła na córkę.

W tej chwili wszedł rudy faktor, i pokornie się skłoniwszy, doniósł wedle rozkazu, że już czas do katedry, przed którą właśnie wysiadł arcybiskup.

Staropolska szlachcianka zebrała się co prę dż i wyszła ulicę w towarzystwie córki, ubrana w cu dackiej salopie, podbitej białemi lisami, i w czepcu czarnym aksamitnym z brudną korunką, lecz zawsze z tęgą miną. Ubiór matki żenował niepomalu biedną Anusię mianowicie przy jej ciągle głośniejszej mowie, ruchach zawieszisto rozkazujących, i w obec młodych ludzi, którzy za niemi postępowali. Sama zaś ubrana była dosyć strojnie wedle mody warszawskiej; ten strój, o którym przed matką twierdziła, że z własnego pochodzi gospodarstwa, był jedyną teraz pamiątką poczciwego Jasia. To też choć z pod oka spozrzała na młodzień natrętą, powtarzała ciągle w duszy.

— Ani jednego tu niema takiego jak mój Janek poczciwy.

Stanął wreszcie przed katedrą, która już wówczas w tym samym była stanie co dzisiaj. I zaiste każdy sąd zimny a nieuprzedzony przyznać zawsze musi katedrze obrządku łacińskiego pierwszeństwo nad innymi świątyniami lwowskimi; odznacza się ona lekkością sklepień, szczęśliwie zachowaną miarą we wszystkim, symetrycznością całości, i tem nareszcie troskliwym onej utrzymaniem, w którym przebija pieczołowitość szczęśliwie zawsze dobieranych arcy-pasterzy.

Przyszedłszy już późno, zastały wszystkie ławki zajęte. Biedna szlachcianka, mimo zmęczenia, miejsca znaleźć nie mogła, ukląkłszy zatem przy pierwszym rzędzie ławek, gorąco się modlić poczęła.

Wspaniałe wielki ołtarz rześcicie był oświetlony; przygrywały organy, którym wtórowała muzyka wokalna. Kościół był przepełniony, odprawiał bowiem tej niedzieli nabożeństwo sam arcybiskup wielce szanowany, którego głos mocny świadczył, że przenoszenie się z katedry na katedrę, ze stolicy na stolicę nie wywarło żadnego na jego zdrowiu zgubnego wpływu.

Ławki kościelne mieściły wszystko, co tylko się pod tę porę znajdowało arystokracji polskiej we Lwowie. A wszystkie panie postrojone były modnie, ale dziwnie; pełno było perfumów, pudru, różu i łabędzików, i koronek, które miały podnieść albo wskrzesić dawne wdzięki. W

konceptach modnych na głowie, w salopach i zarękawkach, widocznie Wiedeń podawał bratnią dłoń odległej Warszawie. Jak nalepione siedziały, same wojewodziny, kasztelanowe, dygnitarzki, starościny grodzkie i niegrodzkie, mianujące się, jeżeli nie mianowane już hrabinami, chociaż in partibus. A jedna przesadzała drugę w modnej przesadzie. Jedna nie mogła otworzyć klamerki od nabożnej książki, i kiwała na kamerdynera francuza, który spiesząc się potracił naszą starą szlachciankę. Druga zażywając tabakę ze złotej tabakierki, z dumy, aż wiatery ustami puszczała. Trzecia po modnemu kaszlała, choć piersi miała wolne. Inna znowu przytulała do nosa woniejącą chustkę, aby się obronić od nieznośnej zaduchy. A tak napchano było w ławkach, że pełzający nawet padalec nie byłby się przemknął pomiędzy te wszystkie wielkości.

W środku wielkiej mszy szelest przerwał gorliwe nabożeństwo Anusinej matki. Mimowolnie oglądnać się musiała. Dwóch służących w wykwinionych płaszczach futrzanych, srebrnymi kłamrami spiętych przepychało się, robiąc miejsce, dla idącej za niemi pani. Lecz daremne były ich usiłowania, nie znaleźli żadnego miejsca dla księżnej jenerałowej ziem podolskich, która wtenczas przez Lwów przejeżdżała. Zaradzili, jak mogli złemu, przynosząc wskazaną przez jakiegoś kanonika ławeczkę nie wykwinutą wcale, czerwonym sukniem przykrytą. Usiadła na niej księżna, a postrzegłszy klęczącą matkę Anusi, odgadnęła jej zmęczenie, i uprzejmie ją zaprosiła, aby przy niej usiadła. Była to jedna i podobno ostatnia arystokratka polska, pomiędzy arystokratkami nowemi!..

Po ukończeniu nabożeństwa, gdy się już wszyscy rozchodzili, matka Anusi zapytała dziada kościelnego, kiedy by mieć mogła posłuchanie u arcybiskupa.

— Chciej wielmożna pani zaczekać przy drzwiach zakrystyi, a tam ten anioł w ludzkiej postaci sam naznaczy godzinę.

Posłuchała go szlachcianka jakoż wnet wyszedł arcybiskup w szubie futrzanej. Na samem wsiadaniu do powozu zagadała go matka Anusi.

— Józefa z Wolskich Wolska, obywatelka z Polski, prosiłabym o naznaczenie godziny, w którejbym u waszej Excellencyi na posłuchanie stawić się mogła.

— Natychmiast proszę do siebie! odpowiedział arcybiskup uprzejmie.

## V.

### Szlachta Podhoredecka.

Na przestrzeni tej kraju, o którą się największy z królów naszych pokusił, w województwie ruskiem, jak je przed parą laty jeszcze nazywano, ciągnie się pasmo gór, które stanowią granicę rzeczypospolitej polskiej, od przyjaźnego nam kraju węgierskiego. U stóp tych gór, na tak



zwanem Podgórzu, na miejscach, gdzie jednym słowem kończy się chleb, a woda zaczyna, zdybać można do dzisiaj mnogie włości, których wszyscy prawie bez wyjątku mieszkańcy należą do klasy ludu, którą my dla zasług ojezyńnie ongi oddanych chętnie liczymy należącą do słynnych owych czasów rycerstwa polskiego.

Śliczne są brzegi Stryja tej podgórskiej rzeki; gdzie nigdzie strome, czasem ciemnymi zarosłe borami, a wszędzie uwieńczone cudnej świeżości zielonością; śliczne, bo czyste i przejrzyste jak krystal, żywe i wartkie toczą się tej rzeki nurty, po korycie z różnobarwnych kamyczków umozajkowanem. Nieraz przechodząc się nad jej brzegami, patrząc, jak w pogodną noc letnią zwierciadlane jej fale odbijają niebo gwiazdami zasiane, i płyną dalej pośrebrzone światłem księżyca, zamarzyłem o minionych czasach, i przyszło mi na myśl, ilekroć to te same wody odbijały księżyc i gwiazdy kreślone nieudolną ręką na zwyciężkich chorągwiach, tworząc razem herb Sas, wspólny secinom rodzin u podnóża Karpat rozsypanych. Przez dziwny zbieg okoliczności, dzisiejsze Stryjskie, Samborskie, Sanockie i Przemyskie po części ziemi przepełnione są szlachtą, która z wyjątkiem nie wielu rodzin do innego należących herbu, wszystkie pieczętują się herbem Sas. I szlachta to, choć chodzi za pługiem na odziedziczonych kawałkach roli. Dawniej za pługiem chodziła z szablą; dziś z pamiętką tylko i żalem!

Zadnej zda się nie podlega wątpliwości, iż panowanie wielkiego Kazimierza zastało już te rody szlachectwem zaszczycone; największa w tem zachodzi wątpliwość, czyli ci wszyscy herbowni jak dzisiejsze nam opowiadają pamiętki pochodzą wprost od hrabi Huyda równie Daniłowiczóm Dzieduszyckim i kilku innym znakomitym rodom; czyli też stojąc gromadnie w obronie kraju ojczystego, odważniejsi i zasłużeńsi całemi gromadami uszlachconemi zostawali. I jedno i drugie zdanie ma wiele za sobą, lecz badania pewne w tej mierze nikną w pomroce wieku, i rozkrzewienie herbu Sas w jednej okolicy, równie innym ważniejszym przeszłości zagadkom, zostanie na zawsze podobno zagadką.

Rody te wszystkie rzeczypospolitej polskiej przychyłne, rozmaite pełniły usługi, i rozmaitemi trudnili się zajęciami. Gotowi zawsze, czy by ziemię uprawić, czyby strzedz granic ojezystych, pospolitsi trudnili się rybołostwem, psotą w lasach, genialniejsi opuszczali domy rodzinne, i awantur-niczym a rycerskim pędzeni duchem, szukali szczęścia po szersokim kraju. Stosowna i treściwa jest w tej mierze ludowa gadka, która rozpowiada, jak jakiś władca dostąpiwszy wysokiego dostojęstwa w hierarchi kościelnej, zawitał do wsi rodzinnej poszóstną telegą. Lecz nie zastawszy brata młodszego w chacie, zostawia w niej świtę, a sam idzie na znajome sobie pola i łąki, i zastaje brata na kosszarze otoczonego kozami i owcami. Czułe nastąpiło powi-

tanie, a brat młodszy patrząc na starszego, rzecze do niego:

— Widzisz bracie! gdybyś był z domu nie uciekał, byłbyś już dotąd, tak jak ja watażył.

Zwyczaje i obyczaje tej szlachty są nadwyczej pa-tryarchalne; odziewa ich gruba siwa siermięga zsztynnym kolnierzem, wysokie buty nie zawsze w dobrym stanie, wysoka czapka barania pokrywająca głowę wysoko goloną. Duch szlacheckiej arystokracji panuje zawsze między nimi; nie tyle wszakże jak dawniej, bo w drugiej jeszcze połowie ośmnastego wieku, ani mowy nie było o małżeńskich związkach z nieszlachtą. Została po dziś dzień passja do przechowywania papierów rodzinnych, lecz te dokumenta nie sięgają więcej nad lat pięćset, a często dosięgają tylko panowania Sobieskiego. Pytani o to, przypisują ten brak dokumentów dawniejszych najazdom częstym dzikich wrogów mianowicie ostatniemu napadowi Tatarów za panowania Jana III. I niewiele tam ciekawego znaleźć można w tych zbutwiałych papierach; chyba kondemnaty jakie za zuchostwa zbyteczne, procesa o lasy i młyny, interczy o kawałki gruntów, i t. p. prywatne pamiętki. (D. c. n.)

## PRZYSZŁA KRYSKA NA MATYSKA.

(Przysłowie.)

Był Matysek chłop przed laty,  
Jak drugiego nie znajdziecie,  
I przystojny i bogaty,  
I szczęśliwy na tym świecie;  
Był kochany, nieznał biedy,  
Zazdrościli mu ludziska,  
Nikt nie wierzył, aby kiedy  
Przyszła kryska na Matyska.

Krasawica, cud dziewoja  
Zakochała w nim się skrycie.  
„Mój Matysku, jestem twoja,  
„Będę twoją całe życie.”  
Lecz ktoś inny sypnął grosza  
I wzajemność dziewczki zyska,  
I Matysek wziął odkosza:  
Przyszła kryska na Matyska.

„Mój Matysku nie dbaj o to,  
„A miłośnie rzuć zachody,  
„Lepiej z nami użyj złoto,  
„Pójdziem hulać do gospody.”  
Tak go sąsiad cieszył w biedzie  
I całuje i uściska.



„Dobrze mówisz, mój sąsiedzie.”  
Przyszła kryska na Matyska.

Pił z rozpaczą dobę cała,  
Na pociechę pół tygodnia,  
Poił wszystkich co się wlało,  
I sąsiada i przychodnie;  
A gdy przyszło do zapłaty,  
Toć ostatni grosz wyciska,  
Jak niepyszny szedł do chaty:  
Przyszła kryska na Matyska.

I od tańca i od trunku  
Zachorował tejże doby;  
Lekarz przybył dla ratunku  
I napędził trzy choroby,  
A za recept i za leki  
Wziął ze stajai dwa koniska;  
I odjechał w świat daleki:  
Przyszła kryska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:  
„Niechże wspomną towarzysze,  
„Ja testament dla nich zrobię  
„I każdemu coś zapiszę.”  
Ale w chacie nic nie było,  
Prócz starego w progu psiska;  
Westchnął biedak całą siłą:  
Przyszła kryska na Matyska.

Umarł tedy jak ów święty,  
Co tureckim ludzie zowią,  
A odzieży lichej szczęty  
Położyli mu pod głową,  
A na pogrzeb nikt z Sąsiadów  
Nie popatrzał nawet z bliska,  
Trumnę niosło czterech dziadów,  
Przyszła kryska na Matyska.

Pod darniną pod zieloną  
Zajął miejsce nieprzestronne;  
Na pogrzebie nie dzwoniiono,  
Bo nie stało na podzwonne.  
Przy kapliczce, tuż pod ścianą,  
Jedlinowy krzyżyk błyska,  
A na krzyżu napisano:  
„Przyszła kryska na Matyska.”

Wł. Syrokomla.

## Wspomnienia z podróży i wycieczek.

Przejazd po ziemi Dońskiej, przez W. D.

I.

(Ciąg dalszy.)

Handel rybny jest źródłem wielkich dochodów dla mieszkańców Donu. Niegdyś poznałem w Aksaju kozaka starego, który dziesięć przeszło milionów posiadał majątku, zebranego przemysłem rybnym i handlem nadbrzeżnym. Nie różnił się on jednak od innych kozaków Dońskich, ani powierzchownością, ani sposobem życia wykwintniejszym. Nosił brodę i odziewał się w granatowy kaftan, mieszkał w domku podobnym do wszystkich domów, na sposób kozacki budowanych. Nie było tam widać przepychu żadnego w umeblowaniu, a nieco tylko większy samowar niż u innych, bo z parą konwi wody w sobie mieszczący, kazał się domyślać o większej jego zamożności, i znaczniejszej liczbie obsiadających go przyjaciół.

Siedząc obok naszych rzeczy, ułożonych na jakimś przewróconym kajuku, dumaliśmy nad sposobem dostania się do jakiej oberży, gdy w tem podjeżdża wóz, a raczej tylko dwa dragi położone na osiach, kształtem wozów używanych w Warszawie do przewożenia beczek, nakryte starym dywanikiem perskim, ofiarując nam swoje usługi. Był to rodzaj miejscowej dorożki, używanej tam powszechnie w tym kształcie, z powodu niezgruntowanych błót wiosennych. Ułożył więc dorożkarz nasze tłumoki na dragach, pozostawiwszy i dla nas miejsce; sam idąc pieszo dowiózł nas do pierwszej lepszej oberży, gdzie, jak utrzymywał wszyscy znakomitsi podróżni stają, i wszelkie znajdują wygody. Wcalesmy tam tego nie doświadczyli, ale przynajmniej w tych pokojach, gdzie rozstawione i nakryte stoliki, oczekiwały zawsze na gości, gdy numerów osobnych nie było, wypocząwszy na sofach, obsusziliśmy przemokłe w ostatniej przygodzie rzeczy około pieców; a po północy, wzięwszy świeże konie, które po tej stronie czekały na podróżnych, śmiało w dalszą puściliśmy się drogę.

Pięć koni, które nam tu także zaprzężono, z trudnością wydzwigały nas pod ogromną górę, na którą szła droga, a nawet wydobywszy się na równinę, nie mogliśmy przyspieszyć kroku, i większą część drogi szliśmy pieszo.

Po Nowo Czerkasku, jedynem mieście Ziemi Dońskiej, gdyż cała ludność osiedlona w stanicach, Aksay jest najludniejszym punktem. Chociaż także jest tylko stacja, ale ma pozór większego nawet miasta, z kilku cerkwiemi, rynkiem, sklepami i restauracyami. Część stacji dolną, ciągnącą się wzdłuż brzegów Dońskich, składają po większej części murowane spichrze, z których znaczna ilość pszenicy co roku odpływała ztąd na morze czarne. Pod górę ciągną się główne ulice stacji; po większej części domy jej są murowane! Osobliwszy sposób budowania tych



domów, z których każdy drewniany czy murowany, kształtu pół Europejskiego a pół Azyatyckiego, musi być obwieszony do koła galerijką; pomalowany na żółto lub czerwono, nadaje dziwną fizyonomię całej osadzie, pełnej życia i handlowego ruchu, większego niż w niejednym z gubernialnych miast Rosyi.

Siedm wiorst tylko pozostawało od Aksaja do następnej stacyi *Zmijowskiej*, a dobrze już było nie rano, gdyśmy tam stanęli.

Dreszczem nas przejął widok *Zmijowskiej* stacyi, leżącej w odludnym stepie, jak owa pamiętna stacya *Nowopr*, a zwłaszcza gdy zarządzający nią pisarz, podobnie jak w tamtej, zaraz na wstępie grzecznie nam oświadczył, że koni zabrakło, dowiódł to wykazem z dziennika i dodał, że nie mamy się czego spieszyć na tak złą drogę, gdyż u niego wszelkie możem mieć tymczasowe wygody, jakich na żadnej stacyi pewnie nigdy nie było i nie będzie. Lecz samo zabudowanie drewniane, wilgotne, ciasne, już nam mówiło przeciwnie. Postanowiliśmy więc użyć wszelkich sposobów, by nawet pół godziny tu nie bawić i naszych żądań nie przedawnić. Trzeba było zdecydować się wziąć tyle koni, ile sam pisarz naznaczy i zapłacić potrojnem, lub więcej. Jakoż gdyśmy to oświadczyli, pisarz wynalazł pięć koni, jakoby już przeznaczonych pod pocztę listową, której co chwila oczekiwał. Lecz bryczki żadnej nie było: oświadczył nadto, że choćby się znalazła, byłaby zbyt czerń, gdyż tylko konna jazda jest możebna pomiędzy stacyą a Rostowem, do którego trzy mile nam pozostawało. Nawet korespondencye konno tam przewożono po tej szczególnej drodze. Wnet stanęło przed iurem pięć koni. Na jednym usiadł towarzyszący nam jemszczyk, na dwóch powieszono nasze pakunki pozwiązawszy je postronkami. Dwa pozostałe przeznaczono dla nas.

Z pewnem jakimś zadowoleniem powskakiwaliśmy na te szkapska, poprawiając pod sobą przywiązane zamiast siodła poduszki, w przekonaniu, że uciekamy od powtórnego, kilku-dniowego aresztu, od naciąganych rozrywek, do jakich w znudzeniu musielibyśmy się udawać, nieproporcjonalnego i przesadzonego obrachunku za te wygody, które nam już wcześniej pisarz pocztowy obiecywał.

Gęsty, drobny deszczyk siał jak przez sito, gdyśmy wyjechali na gościniec, po którym stąpiąc parę godzin z górą po ciężkiem, grząskiem błocie, stanęliśmy przed słupem odgraniczającym ziemię wojska *Dońskiego* od gubernii *Ekaterynosławskiej*, jak to pokazywał napis u wierzchu na okrągłej tarczy umieszczonej. A pożegnawszy Ziemię *Dońską*, uwożąc z niej tyle dziwacznych wspomnień, mijaliśmy nie długo na lewo *Nahiczewan*, ormiańskie miasto, następnie starą forteczkę *ś. Dymitrego* i niedługo w takim okazałym poczcie wjeżdżaliśmy do *Rostowa*, okryci burkami, z których jedna strażona i dobrze wytarta pamiętała *Achulgoilas* *Iczkiriński*, dołem miała powypalane brzegi, a na plecach

łątę także od wypalenia przy ognisku obozowem. Druga kudłata, sięgająca pamięcią ledwie *Dargińskiej* i *Aldyńskiej* wyprawy, przedziurawiona kulą *Czeczeńską*, a w kudłach nosząca niegdyś drugą kulę, która teraz już gdzieś wypadła, zostawiwszy tylko ślad dziury. Obmokłe nasze czapki kudłate *kaukazkie*, oryginalną nadawały nam fizyonomiją. Zamiast siodła których nie było na stacyi, poprzywiązywał pocztowy starosta skurczane nasze poduszki, opuściwszy w kształt strzemion końce postronka z petlami, w których opierały się nasze nogi. A poprzewieszane szaszki i broń palna, razem z tłumokami i torbami różnej wielkości, przez dwa luzem wiedzione konie, oznaczały żeśmy wojnę ukończyli.

Najprzód tedy jechaliśmy obaj w opisanej postawie i ubiorze. Dalej za nami postępował, naksztalt jakiegoś giermka, pocztowy luzak wiodący owe dwa konie z rzeźcami i pakunkami. I tak wjechaliśmy do *Rostowa* najpierwszego z miast rusko-europejską mających fizyonomiją, na dniu 13 lutego 185... roku. (C. d. n.)

## Najnowsze dzieła.

### WNUCZĘTA.

Powieść społeczna *Zygmunta Kaczkowskiego*  
w 4 tomach.

(Dokończenie.)

Na tem koniec! już to nie sam koniec. Na ostatnie zakończenie dowiadujemy się, że się pan *Adam* bardzo dobrze i przyzwoicie żeni, a pana *Tadeusza* który zawsze drwi sobie ze wszystkiego *Lord Tharlów* wzywa listem na pojedynek. A to z tego powodu. Pan *Tadeusz* założył się kiedyś z lordem że panna *Flora* pójdzie za *Drabika*, a na każdy przypadek twierdził że się z nią błążen tylko jaki ożeni. A że się z nią w końcu żeni *Lord*, więc żąda wygranej, a razem satysfakcyi za błążen. Na czem się ten przypadek kończy już nie wiemy, bo rezultat onego zostawił autor domysłom swoich czytelników.

Oto jest cała treść tej czterotomowej powieści. Treść jak widzimy nie obszerna wcale, ale rozszerzona przez mnóstwo szczegółów epizodycznych, a mianowicie retorycznych, w których autor zdaje się milować nie pospolicie.

Aby uzupełnić sprawozdanie nasze i osądzić po zdaniu naszym tę nową powieść naszego utalentowanego powieściarza, musimy tu jeszcze kilka dodać słów. A najprzód o samym tytule. I to tem więcej o nim coś powiedzieć wypada, że czytelnik samej powieści nie bardzo, a czytelnik sprawozdania naszego zupełnie nie odgadnie jakim sposobem powieść ta do takiego a nie do innego



przyszła tytułu, który w samej treści lekko tylko ugruntowany jest, i ledziej jeszcze a czasem jeno napomknięty.

Jeżeli nasz tedy domysł jest prawdziwy, tytuł: *Wnuczęta* nadany przez autora ma niby oznaczyć jednym słowem, całe pokolenie wnuków, reprezentujących dzisiejsze społeczeństwo. Są to *wnukowie* przebrzmiałych już *działdów*. Chciał zatem autor ostatecznie pokazać nam w tej powieści jacy to są ci *wnukowie*, tych naszych *działdów*, których w dawniejszych opisywał powieściach, a z których jeden typ i w tej wprowadził powieści.

Zrozumienie tego tytułu jest konieczne do dania sądu o tej powieści bo tytuł sam wskazuje nam stanowisko z jakiego mamy oglądać na ten utwór pana *Kaczkowskiego*, i z jakiego sądzić mamy, ażali autor odpowiedział zadaniu jakie przeprowadzić zamyślił.

A więc idzie o to, czy obraz w tej powieści jest wiernym obrazem naszej społeczności? czy osoby w niej działające są rzeczywiście owemi *wnuczętami* tej przeszłości którą nam ten sam autor malował w tylu pięknych i żywych obrazach.

Odpowiedź na to *bezwzględna* jest prawie niepodobna, bo w utworze wyobraźni jakim jest romans, najglówniej stanowi zapatrywanie się autora na przedmiot, jaki przedstawić postanowił. *Wnuczęta* pana *Kaczkowskiego* mogą się jemu wydawać istotnemi *wnuczętami* wielkich działdów, i są rzeczywiście karłami *wnuczętkami*, tak jak je autor widzi, i jak je przedstawia.

Lecz czy na tych kilku typach pochwyconych, mniej lub więcej prawdziwych kończy się cały obraz dzisiejszego społeczeństwa? czyli i o ile te typy odbijają w sobie większość dzisiejszego różnolitego społeczeństwa? czy narazie te same typy są zupełnie prawdziwe lub prawdopodobne? to są pytania które względnej podlegają słusznemu krytyce.

Owoż zdaniem naszym: typy te niemogą wyczerpnąć całego społeczeństwa, i zapewne się o to nie kusił nawet autor. A co więcej typy te wszystkie wydają się nam czysto imaginacyjne. Jak to Podole utworzone przez autora z pięknosciami podgórze i górskich położen, tak i ci wszyscy ludzie na tem Podolu powieściowem mieszkający są zupełnie utworem wyobraźni autora. Przy znakomitym talencie autora, który i w tej powieści rozlany jest po całej treści i wszystkich onej szczegółach, charakterystycznie w *wnuczętach* występujące wydają się żywe i prawdziwe, ale przeczytawszy z uwagą treść którą tu sumiennie podaliśmy każdy przyzna że to nie są dzisiejsi ludzie, że nie trafiony jest cały typ dzisiejszego codziennego społeczeństwa.

Prócz bowiem barona którego można zdybać, i staro Dęboroga który ma w sobie wiele rysów prawdziwych jakkolwiek starszych od siebie, wszystkie inne charakterystyki są nie dzisiejsze i nie nasze. Głównym typem

dzisiejszej społeczności, każdy to przyzna, jest pozytywna praktyczność, nie w naukach zapewne, nie w rozumie politycznym, ale we wszystkich pojawach życia społecznego. Wszystkie zaś charakterystyki p. *Kaczkowskiego* w tej powieści są ujemne, niepewne, nijakie, jak n. p. *Tadeusz* ni dobry ni zły, fantastyk podrażający ciągle, zawieszony zawsze między uśmiechem szyderstwa, a łzą rozczulenia dla niego samego i dla drugich bezowocna, jak *Lord Tharlów* exemplarz zupełnie nie polski, ani nawet galicyjski, jak *Olimpia*, *Baronowa*, i nawet *Kamilla* najpiękniejszy może charakter tej powieści, ale czysto bierny. Nie mówimy już o samych bohaterach, lub o *Adamie*. Kto zna społeczeństwo nasze, i dzisiejszą wczesnie dościgającą młodzież, ten przyzna że takie charakterystyki niebałe, ni do stroju ni do łożu są zapewne możliwe ale w tej własnej powieści na obraz całego społeczeństwa naszego zakrojone nieprawdopodobne. I cóż smutniejszego dla uczucia estetycznego, jak wybór takich bawelnianych figurek jak *Lolo* na bohaterów romansu. Dla tego też z przykrem uczuciem czyta się koniec w którym ta młoda *Munia*, bohaterka bez bohaterstwa przez całe cztery tomy, nagle dostaje pomieszania zmysłów, do tego pierwiej przez autora ani przygotowana, ani usposobiona.

Najpozytywniejszy jest *Amilkar* zapewne. Typ utracjusza; jest to typ prawdziwy, ale z przeproszeniem autora typ europejski, nie zaś czysto nasz, a zupełnie nie nasz dzisiejszy. Bywali i u nas tacy utracjusze, a mianowicie utraciuszki, bo taka szczególna płytkość czepia się więcej u nas niewiast niżeli mężczyzn, ale to dawniej w epoce przechodowej po napoleońskiej. Dzisiaj w tym rządzie społecznym, w którym autor postawił *Amilkara*, niema takiego typu w całej szerokiej Polsce, a mianowicie nie w *Galicyi*.

Co jeszcze uderza w całem obrobieniu wybranego przez autora przedmiotu, jest to; że wszystkie te prawie działające osoby, mające być typami dzisiejszemi, są albo całkiem bierne, albo zupełnie złe. A jakkolwiek czarne mieć możemy wyobrażenie o dzisiejszem społeczeństwie, przecież niemożemy w tem przyznać autorowi słusznosci. Smutno byłoby z nami gdyby rzeczywiście wszyscy *wnuczęta* byli albo źli albo takie cnotliwe ciemięgi jak *Racibor*, albo do niczego jak *Tadeusz*, albo komediancy jak *lord* i t. d.

Tak przecie nie jest w życiu istotnem tego społeczeństwa jakie maluje autor, bo jest oczywista nieprawda dająca się zbić stoma z miasta czy ze wsi uchwyconemi przykładami; tak być nie może w powieści, bo jest w tem nieprawda artystyczna, rażąca boleśnie czytelników.

I dziwną postrzegamy sprzeczność w zdaniach jakie autor w tej powieści naumyślnie jako zdania własne objawia. Widocznie co nie od dzisiaj wiemy sprzyjać się zdaje stanom wyższym; z niepospolitem zamiłowaniem maluje wszystkie szczegóły zwyczajów, zbytków i kapryśków ary



stokratycznych, naidłużej i najochotniej przebywa po eleganckich salonach, wśród wytwornych sprzętów i fraszek, o aksamitną oparty opone, lub w aksamitnym siedząc fotelu; a przecież pomiędzy typami dzisiejszemi tego świata wyższego nie daje ani jednego typu lub szlachetniejszego lub przynajmniej mądrzejszego, chyba że z grobu dobędzie jakiegoś Dębora, który wygląda w powieści współczesnej, jak ów Grek co kilka lat dziesiątek przespał.

Bo że Drabik, jest istnym drabikiem, do tego już nas przyzwyczaił nieraz pan Kaczkowski. Drabik musi być drabikiem, bo przecież syn ludu. Wolno panu Kaczkowskiemu mieć własny pogląd na społeczeństwo, żądać jednak możemy, aby w tem była prawda artystyczna. Otóż krzywo schwycony jest charakter Drabika nawet ze stanowiska, z jakiego pan Kaczkowski patrzy na świat. Drabik taki wśliznąwszy się na salony niema zwykle nic pilniejszego jak potępianiem tej niższej warstwy z której wyszedł, wyrabiać sobie obywatelstwo w wyższej. Jeżeli wnuk Kopcuszką, który przez kradzież przyszedł do majątku urąga klasom niższym, taki Drabik, powinien mu przyznać to, i pomagać nawet w tych expektoracjach. Byłaby w tem prawda artystyczna, a nawet i społeczna, stwierdzana ciągle w codziennem życiu. Dla czegoż przynajmniej tej tak widocznej preferencji nie objawi autor w swej powieści jakimś choćby jednym typem dzielnym przez serce czy rozum, kiedy w każdym takim niższym jak i wyższym stanie są zapewne ciemne, ale są i światłe dzielnie w życiu społecznem objawiające się charaktery. Obrobienie przedmiotu w szczegółach, w epizodach, zdradza oczywiście wszędzie dzielne i wypróbowane już pióro utalentowanego autora tylu pięknych powieści. Świat jaki sam sobie stworzył w Wnuczątach, jakkolwiek nie możemy przyznać mu prawdy, oddaje autor z całą żywością barw, z całym wdziękiem gładkiego i potoczystego stylu. Epizody niektóre. są dziwnie pięknie jak n. p. obraz zmarłych pana sługi i koni jak ich odkopują, jest cudownie piękny, równie jak i cały obraz tej okropnej podróży Racibora jest artystycznie piękny i ukończony. Te tylko może zrobić by można uwagę, że za nadto przeciągnięty, przez co staje się męczący. Położenia dramatycznego, zda się nam, w powieści nie należy nadużywać. Przeciągnięty onego opis, zmniejsza to silne wrażenie jakie to położenie samo przez się wywiera na czytelniku.

Wrażenie to tonie w szczegółkach, w niecierpliwości, w oczekiwaniu naciągniętem aż do pęknięcia struny. To samo powtarza się w epizodzie rozpaczy p. Edwarda, który po raz kilka i pada i wstaje, tłucze sobą o wszystkie ściany, i marów a gadów niezliczone widzi roje, zanim ostatecznie wpadnie w stan gorączkowego obłąkania.

Szczególnie piękne są niektóre rozmowy, bo z życia schwytnie, mianowicie rozmowy salonowe, gdzie autor oddaje to co widział, co słyszał sam nieraz zapewne. W takich rozmowach jest wszędzie wielka prawda psychologiczna

a nawet i ukończona artystyczność; jak n. p. w rozmowie poufnej Olimpij matki Lola i Baronowej, obie panie tak doskonale pyłują, podchwytyjąc jedna drugą, a tak się niby serdecznie kochają, bo się potrzebują. To jest wyborne.

Inne rozmowy, te mianowicie w których autor w usta mówiących wkłada swoje własne zdania często nie należące zupełnie do tej powieści, jak n. p. religijna rozmowa szefa z gwardyjanem, są za nadto długie, oschłe i w końcu nudzące, choć się czytać dają dla istotnej piękności stylu. W ogóle styl ten p. Kaczkowskiego jest wszędzie śliczny, polski, wymowny, poważny, powiedzielibyśmy nawet za nadto wymowny i poważny jak na powieść osobiwie współczesną, w której styl, powinien być nieco lekszy, rzutniejszy, kapryśnie bieżący gdyby strumyk prześlizgujący się krętym biegiem tu i owdzie, nie gdyby rzeka wspinała szerokiem płynąca korytem. Kwiatki powieściowe przystają lepiej jakoś do strumyka. Rzeki zdają się być stworzone by zplawiały poważniejsze, pożytek z sobą noszące galary.

W tej właśnie o której mówimy powieści, uderza najwięcej ten styl p. Kaczkowskiego, styl przypominający nieraz nawet, nie tylko katedrę profesorską, ale nawet koźnodziejską ambonę. W tej powieści rzeczywiście zdaje się że autor naumyślnie takie potworzył słabiutkie typy, aby ze swej moralnej wyższości tem łatwiej dzisiejszemu społeczeństwu mógł dawać nauki moralne, obroczek duchowny. W każdej niemal rozmowie przebija zdanie samego autora. które dla pożytku czytelników z zapalem predykuje.

Między temi zdaniem większa część jest rzeczywiście arcymoralnych a nawet prawdziwych. Ale nie rozmaitego przecie nad zdania ludzkie, i nie urażliwszego, jak ludzie słuchający morałów. Urażliwości tej czytelników często dotykać jest praca i niewdzięczna i dla powieściarza mianowicie nie koniecznie polityczna.

Z tych zdań rozmaitych jakimi autor w Wnuczątach przez usta swoich powieściowych przemawia figurek, musimy na dokończenie jedno podnieść zdanie, i dziwną w niem wykazać sprzeczność, która jeżeli nie jest przypadkowa, mogłaby uchodzić za nadto umyślnie złośliwą.

Już to w ogóle autor w jednym ustępie potępia w czambuł wszystkich Galicjanów, malując ich grubym dosyć i bazgrającym pędzlem bo nawet przecie wyśmiewa wszelkie galicyjskie utwory pisane, tak lekkiejak naukowe, przyczem daje przytyki za nadto osobiste by nie były odgadnione. Nicbyśmy przeciw temu tak dalece nie mieli, chociaż w podobnych zdaniach najlepiej jest niezapominać o ślicznem powiedzeniu chrześciańskiem... „Kto niewinny, niech pierwszy kamień rzuca.” Ale dziwnem się potem wydaje, gdy w innem miejscu przy opisie Lwowa chwali go niby ogólnemi słowy, piorunuje na skandaliczne



paszkwile naprzeciw towarzystwu lwowskiemu, pisywane dawniej, a dwie kartki dalej to samo lwowskie towarzystwo w opisie zdarzeń i rozmów, wydrzeźnia i łączy.

Zdaje się nam, że w objawie zdań swoich, mianowicie jeżeli się z nimi występuje w kwestjach ważniejszych, gdzie się przychodzi zcierać z objawionymi już zdaniem przeciwnymi, należy zachować pewną jasność i dobitność, bez dwóznaczości, pominąwszy już i to, że lepiej jest swoje zdanie choćby najsurowiej wypowiedzieć, niżeli obce zdania wpółukrytym zaczepiać podjazdem. Ale jak to mówią, po prostu: „strzedz i golić razem” to niekoniecznie dobra, i w ostatecznych wynikłościach nie zbawienna nawet droga.

## Nauka muzyki na fortepianie.

Kilkoletnie istnienie mojego zakładu muzyki z powszechnem uznaniem zadowolaniem od tych Szanownych Rodziców, którzy mi raczyli dzieci swoje powierzyć, zniewala mnie do otwarcia drugiego zakładu, aby dogodzić licznym naleganiom Szanownej Publiczności, chcącey z mojej nauki korzystać, a niemogącey opłacać zwykłej ceny miesięcznej 12 złr. m. k. To naleganie przekonywa mnie, że uczyniwszy naukę moją przystępniejszą dla większej części publiczności, podałabym sposobność wykształcenia nie jednego muzycznego talentu! Chęcią tą powodowana uwiadomiam Szanowną Publiczność że urządziłam w tym celu zakład drugi, w niczem nie różniący się od pierwszego, w tejże samej kamienicy na 3ciem piątrze, w którym od pierwszego września r. b. rozpocznie się nauka, i za bardzo małą cenę udzielaną będzie pod następującymi warunkami:

1. Cena nauki w tymże zakładzie, w pierwszym roku nauki 6 złr. m. k. miesięcznie za 24 godzin, z których połowa czasu użyta będzie do grania na fortepianie głośno, (czyli na praktykę) druga połowa na reguły (czyli teorię) podług metody przezemnie wynalezionnej, i co do korzystnych skutków tejże od lat kilku już wypróbowanej. Uczennica pozostająca w nauce mojej na rok drugi, płacić będzie 5 złr. m. k. miesięcznie, pozostająca na rok trzeci tylko 4 złr. m. k. która to ostatnia płaca pozostanie i na następujące lata nauki.

2. Uczennica z talentem, a nadewszystko pilna, będzie miała pierwszeństwo do pozostania po należytem wykształceniu się nauczycielką w zakładzie moim, za cenę roczną od 300 złr do 500 złr. m. k. podług jej uzdolnienia.

3. W zakładzie nowym li tylko panienki przyjmowane będą, w wieku od lat 6 do 14. Od samego początku uczone będą w taki sposób, ażeby nietylko dla własnej

przyjemności posiadały muzykę, ale nawet aby w razie potrzeby mogły uczyć drugich. Od pierwszej więc lekcyi będą informowane jak potrzeba udzielać naukę muzyki w sposób ułatwiony i gruntowny.

4. Dla nie umiejących języka polskiego, może być nauka wykładana w języku niemieckim lub francuzkim.

5. Tylko te uczennice prawo mieć będą korzystania z zmniejszonej ceny za naukę w latach dalszych, jako też pozostania nauczycielkami w zakładzie moim, które opłacać będą od nauki regularnie co miesiąc, tak w zimie jak i w lecie, nawet w takim razie, gdyby na parę miesięcy wyjechały ze Lwowa; te zaś, które przerywając naukę nie będą za czas opuszczony płacić, nie mają prawa korzystania z warunków na dal przyobiecanych.

6. W zakładzie dawnym żadnej zmiany nie będzie na rok bieżący, i uczenie obojey płci przyjmowane będą pod temi samemi warunkami, co dawniej, i za dwudziesto-czterogodzinną naukę opłacać będą 12 r. m. k. miesięcznie.

Osoby życzące sobie korzystać z nauki w zakładzie nowym, raczą się zgłosić do tegoż zakładu pod Nr. 131 przy ulicy obocznej dominikańskiej, gdzie dawniej był cyrkuł, na trzecie piętro, w godzinach od 3. do 4. do południu codziennie.

Osoby życzące sobie umówić się o naukę w zakładzie dawnym, raczą się zgłosić w godzinach od 11. do 12. w południe na pierwsze piętro.

Do nowego zakładu potrzeba mi jeszcze trzech nauczycielek posiadających jak najdokładniej naukę muzyki, które jeżeli udowodnią gruntowną swą znajomość w muzyce, i nie okaże się potrzeba douczania ich w zakładzie moim, pobierać będą 500 r. m. k. rocznie. Upraszam więc te panie, któreby sobie życzyły umieścić się w zakładzie moim, o spieszne zgłoszenie się do mego pomieszkania.

(158 2—3)

Letycja Wilczopolska.

Podpisany przyjmuje w tym roku pod swój osobisty dozór 4 do szkoły chodzących lub prywatnie się uczących

## Uczniów na stancyę,

którym prócz przedmiotów szkolnych także gra na fortepianie, rysunki i t. d. udzielone być mogą,

**Edward Noskowski,**

nauczyciel szkoły głównej w Bolechowie.

(153)

(2—3)